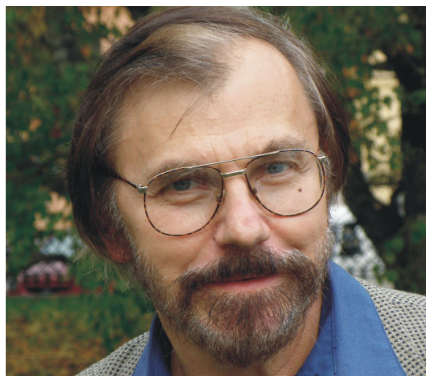


Listy do Pani A. (63)



Jezioro i Struga

Lato miałem wypełnione do końca. Najpierw – jak już Pani pisałem – pojechałem z Joasią, moim wnuczkami Witkiem oraz z Iskrą na Mazury. Miałem trochę obaw, jak sobie poradzę z dziećmi. Joasia ma trzynaście lat, a Witek jedenaście. Iskra też szczeniak, bo jeszcze nie miała roku. Ale z psami zawsze porozumiewałem się doskonale. Okazało się, że było niezłe, jak już Pani pisałem.

Potem czekał mnie inny pobyt. Jak zwykle, na Kaszubach – Joasią, jej koleżanką z klasy, Olą, i nieodłącznie z Iskrą, bo i piesek musi mieć wakacje. Ania została z chorą matką.

Pogoda była dobra, więc robiliśmy różne wycieczki. Pierwsza i najdalsza do Dobrzyca za Koszalinem. Byliśmy tam w zeszłym roku, ale dziewczyny chciały pojechać po raz drugi. Nie mogłem się sprzeciwić, bo i tak mało się udzielałem, a też nie chciałem, by mówiły, że jestem ciągle na nie. Do tych pięknych ogrodów (relacjonowałem to Pani przed rokiem) poszły same. Nie wchodziłem tam, bo z psami nie wpuszczają. Położyłem za to po łąkach, a dziewczyny nadszpedzanie szybko stamtąd wyszły. I dobrze, że nie poszedłem z nimi, bo ciągle popędzanie: „chodźmy już! długo jeszcze?” odnosi zupełnie odwrotny skutek.

W drodze powrotnej wpadliśmy do Gąsek na rybę, chwilę pobiliśmy nad morzem, i zaraz z powrotem do domu. Nie chciało mi się wracać po cieniu.

A potem już czas mijął leniwie i bezstresowo, na bliskich wycieczkach do Miastka, Bytowa, na Górę Siemierzycką i Górę Lemana, nad jezioro Kisno. Te góry to raczej niezbyt wysokie wzgórza z wieżami widokowymi. Dziewczyny włożyły tam, by obejrzeć panoramę i porobić zdjęcia, a ja z Iskrą zostawiliśmy na dole. Wiedziałem, że czekają mnie inne, większe wysokości. Ale o tym za chwilę.

Jeszcze tylko piesza wycieczka do wsi o ładnej nazwie Wiatrołom – tam i z powrotem około piętnastu kilometrów.

Wracając do Warszawy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej w okolicach Wąbrzeźna. Dziewczyny wysiadły z auta, ja zatankowałem i poszedłem płacić za paliwo. Potem odjechałem od dystrybutora na parking, wziąłem Iskrę i poszedłem na pobliską łąkę. Wcześniej zauważyłem, że dziewczyny nie zamknęły drzwi. Już miałem je zawołać i ochrzanić, ale powstrzymałem się. Wracam, chcę wpuścić pieska do auta, a tu nie ma kluczyków. Szukam w kieszeniach, obszedłem ze dwa razy łąkę – bez skutku. Kluczyki przepadły, bo miałem (od lat zresztą) dziurę w kieszeni. Mea culpa! Na szczęście miałem zapasowe w torbie, a torba była w samochodzie. Byłem szczęśliwy, że dziewczyny nie

zatrzasnęły drzwiczek, bo nie mógłbym się dostać do auta. A skąd sprowadzić ślusarza? Po przyjeździe do Warszawy natychmiast polecałem do punktu dorabiania kluczy, i zamówiłem od razu dwa. Melduję Pani posłusznie, że dziury nie zaszyłem do dziś!

Tymczasem czekały na mnie – jak wspomniałem – inne wysokości, przeszło osiem tysięcy metrów nad ziemią. Zbliżał się bowiem termin rozpoczęcia Międzynarodowego Festiwalu Poezji w Strudze, na który byłem zaproszony. Innego dogodnego połączenia nie było, jak tylko lotnicze, z przesiadką w Wiedniu, a z Wiednia do Skopje. Mój niepokój się zwiększał z każdym dniem, zwłaszcza, że miałem lecieć sam, jako jedyny poeta z Polski. Poza tym napatrzyłem się w telewizji programów „Katastrofy w przestworzach”, więc oczyma wyobraźni widziałem, jak pilot rozpaczliwie walczy z wolantem, a my spadamy.

Samolot już pędził po pasie startowym, a ja wciśnięty w fotel myślałem: oderwie się od ziemi, czy nie. Ale po chwili maszyna poszła w górę. Poczulem pewną ulgę, choć przecież jeszcze przede mną cały lot i lądowanie. I tak przeżywałem to cztery razy, z Warszawy do Wiednia i z Wiednia do Skopje, a po tygodniu z powrotem tą samą drogą. Ale jestem cały i zdrowy, i znowu będę Panią zamęczał listami.

W Skopje już czekał busik, wsiadło kilku autorów, którzy w tym samym czasie przylecieli z różnych kierunków. Podróż do Strugi trwała około czterech godzin – prawie tyle co dwoma samolotami z Warszawy. W Strudze hotel Drim bardzo elegancki, oznakowany czterema gwiazdkami.

Szosta rano, budzi mnie jakiś donośny krzyk. Hotel się pali, ewakuacja, czy co? Podbiegam do okna i już wiem, o co chodzi. Oto naprzeciw hotelu jest meczet. Z minaretu dobiegał donośny śpiew muezina. Głos był nagrany i emitowany przez potężne głośniki.

Przy śniadaniu zacząłem poznawać poetów przybyłych z różnych krajów. Poprzedniego dnia nawiązałem kontakt z poetą ukraińskim Dmytro Czistiakiem, słowackim Janem Gavurą. Liliję Gazizovą, poetkę z Kazachstanu, znałem już wcześniej, bo przyjeżdżała do Warszawy na festiwal. Pomagali mi oni porozumiewać się z innymi, bo mój angielski jest... chciałem napisać: słaby, ale w zasadzie nie ma go wcale. Dmytro i Jan mówili po polsku, z Liliją porozumiewałem się po rosyjsku. Rozumiałem też trochę macedoński, choć był to mój pierwszy kontakt z tym językiem.

Jest w Strudze taki zwyczaj, że laureat Festiwalu (w tym roku był nim Jose Emilio Pacheco, poeta z Meksyku) sadzi drzewo w Alei Poetów. Proszę sobie wyobrazić, że w Strudze jest Aleja Poetów, Most Poetów, Dom Poezji... I właśnie pierwszy dzień, to prezentacja twórczości laureata, sadzenie przez niego drzewa i czytanie wierszy przez kilku specjalnie wytypowanych uczestników Festiwalu. Znalazłem się wśród nich.

Indywidualnych spotkań nie było, bo przecież każdy musiałby mieć osobnego tłumacza. Wszystko polegało na prezentacjach w Domu Poezji, w Ohrydzie, w monasterze Kaliksta, do którego płynęliśmy statkiem przez jezioro Ohryd. Bezkres wody, wysokie, malownicze góry, w jednym miejscu naliczyłem pięć łańcuchów.

Festiwal świetny, wiele atrakcji. Jeszcze będę do niego wracał w następnych listach.

A na zakończenie, w przedostatnim dniu wieczorem, uroczystość w samej Strudze. Czy u nas byłoby do pomyslenia, aby zamknąć most na newralgicznej ulicy, ustawić estradę i krzesła, i to tylko dlatego, aby uczestnicy Festiwalu Poezji mogli

czytać wiersze? W dodatku całość trwająca około półtorej godziny transmitowała na żywo telewizja macedońska. My się już cieszymy, gdy kamerzysta wpadnie na pięć minut, jeśli w ogóle się pojawi. Wzdłuż rzeki, po obu stronach siedzieli i stali słuchacze. W Polsce takich tłumów na imprezach poetyckich jak żyję nie widziałem. Czytaliśmy wiersze w językach narodowych, a lektorzy po macedońsku lub po angielsku.

W przeddzień odlotu do Warszawy, uczestników dzielono na grupy i rozsyłano na imprezy poza Strugę. Przydzielono mnie do ekipy, która jechała do Kumanova. Jest to miasto oddalone od Skopje o jakieś trzydzieści kilometrów. Organizatorzy wcieli, że denerwuję się bardzo, czy zdążę na samolot, dlatego skierowali mnie do miejscowości jak najbliższej lotniska. Zawieźli nas ze Strugi busikiem: dwóch Turków, dwóch Mongołów, Słoweńca i mnie.

Jechaliśmy ze Strugi około czterech godzin. Wreszcie pokazała się tablica miejscowości, busik zatrzymał się. Po jednej stronie łąki, po drugiej niskie budynki. Typowe przedmieście. Okazało się, że tu jest peryferyjny hotelik, w którym nas zakwaterowano na jedną noc. Pojawił się czarnowłosec i jakaś dziewczyna, kazali nam oddać paszporty. Pomyślałem sobie przekornie, że może nas tu przywieziono jako niewolników do zbierania arbuzów...

Po obiedzie tym samym busikiem zawieziono nas do centrum, gdzie mieliśmy czytać wiersze.

Przyprowadzili nas do jakiejś dużej, letniej kawiarni z brezentowym dachem. Poczulem się jak w Polsce, bo jeszcze na piętnaście minut przed rozpoczęciem imprezy nie było żywej duszy. Aż tu nagle niemal o naznaczonej godzinie pomieszczenie zaczęło się zapelniać. Nie wiadomo jak, nie wiadomo skąd, zebrało się w mgnieniu oka chyba ze sto osób. Każdy z nas czytał po trzy wiersze w naszych językach, aktorka zaś czytała tłumaczenia na macedoński. Też trwało to ponad godzinę, publiczność słuchała nas cierpliwie.

Po imprezie z powrotem do hoteliku. Rano odebrałem paszport, a busik zawiózł mnie na lotnisko, skąd polecałem do Wiednia, a potem do Warszawy.

W Skopje dali mi kartę pokładową, ale tylko na samolot do Wiednia. Upierałem się, że muszę mieć dwie karty, drugą na samolot do Warszawy. Zacząłem się z lekka denerwować, a mnie coś tam tłumaczono, czego nie mogłem dobrze skumać. I wtedy objawił się anioł stróż. Usłyszałem głos mówiący najczystszą polszczyzną: „niech się pan nie denerwuje, zaraz wszystko wytłumaczę”. Cały stres opadł ze mnie niczym ładunek po piorunochronie. Był to polski wojskowy, który z jakiejś bałkańskiej misji jechał do kraju na urlop. Okazało się, że Skopje nie mogło nawiązać sieciowego połączenia z Warszawą, więc drugie karty dostaniemy w Wiedniu. Tak też się stało. Poszliśmy razem do odpowiedniego okienka, odnaleźliśmy właściwe wyjście do samolotu, i tak dolecieliśmy do Warszawy. Gdyby się ten oficer nie pojawił nie wiedział bym co robić, zwłaszcza, że w Skopje stale mi mówiono, że wszystko ok. I pewnie wtedy byłby kłopot, bo też nie wiedziałem, gdzie tę kartę odebrać, lotniska nie znam, a jest olbrzymie.

Żałowałem, że to nie Panią spotkałem w Skopje, że nie podróżowaliśmy razem, chociaż... Nieraz byłem przekonany, że widzę Pani twarz. Ale to przecież Pani przysłała mi tego anioła stróża? I za to serdecznie dziękuję i pozdrawiam gorąco –

STEFAN JURKOWSKI